ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Lipca. № 31. Roku 1856.

OSTATNI ŚRODEK.

I. MATKA I SYN.

Powieść nasza zaczyna się w pięknej okolicy podgórskiej. W nieznacznej oddali sinieją wierzchołki Karpat, opasane dokoła zielonemi dąbrowy. Nieco bliżej rozprzestrzenia się szeroka płaszczyzna przerznięta małym strumykiem, i umajona najbujniejszą roślinnością wiosenną. W pośrodku płaszczyzny po jednej i drugiej stronie strumyka ciągnie się długim szeregiem drewnianych chałup wielka wieś podgórska Boryń, dziedzictwo hrabiów Drużewskich. W samym środku wsi widać cerkiew murowaną, tuż obok drewnianą dzwonicę i pomieszkanie proboszcza; dalej ku końcu sioła bieleje na małym wzgórku jednopiątrowy dwór. Jestto obszerny i okazały budynek dawnej struktury, z oficynami u boku, z wielkim cienistym ogrodem w tyle i obszernym, starannie utrzymanym dziedzińcem przed gankiem. Położony na wyniosłości wśród rozległej płaszczyzny, panował dwór boryński nad całą powabną okolicą, którą sam niemało przyozdabiał.

Lecz mimo tak korzystnego położenia wyglądał on w tym czasie jakoś głucho i smutno. Nie było w nim ani tego gwarnego życia na dziedzińcu, ani tej żywej komunikacyi z oficynami, ani tego ustawicznego krzątania się służby, jakie widzieć można w każdym zamożniejszym dworze szlacheckim. Zamknięta zawsze brama świadczyła, iż rzadko przybywał ktoś do dworu, albo wyjeżdżał z niego. Czasem tylko można było ujrzeć kogoś ze służby dworskiej, i dostrzedz jakiegoś śladu życia na osowiałym dziedzińcu. Wewnątrz dworu panowało takieżsame głuche milczenie. Cały szereg bogato i gustownie umeblowanych pokoi stał pusto, jakgdyby wcale nie zamieszkany. Grobowe milczenie zalegało wszystkie pokoje, a nawet i ów mały salonik, w którym siedzieli właśnie główni mieszkańcy dworu.

Była to matka z synem. Oboje siedzieli opodal od siebie w posępnem pochyleni milczeniu. Pani Drużewska mogła mieć już lat około czterdzieście, lecz twarz jej była jeszcze piękna i świeża, czoło gładkie, jagody pełne i rumiane, płeć niezwykłej białości, a włosy czarne jak heban. Budowa ciała i świeżość cery znamionowały zdrowie i siłę. W jednych tylko oczach przebijał się wyraz jakiegoś niepokoju, jakiejś trwogi dręczącej, która cochwila to się uśmierzała cokolwiek, to więcej jeszcze wzmagała. Poznałeś z tego dziwnego wyrazu oczu, że owdowiała hrabina Drużewska należała do rzędu owych osób szczególniejszej kompleksyi, u których cała gra uczuć, wszelki wpływ wrażeń zewnętrznych, wszystka summa życia uczuciowego zwierciedli się w samych oczach, a na resztę fizyognomii żadnego nie wywiera wpływu. Ztądteż i w największem nieszczęściu, wśród najsroższej boleści zachowują podobni ludzie twarz na pozór spokojną i szczęśliwą, cerę świeżą i rumianą.

Siedzący naprzeciw hrabiny syn Artur 22letni młodzian, był jedynym dziedzicem imienia i majątku domu Drużewskich. Nie można wystawić sobie większego podobieństwa w rysach twarzy nad to, jakie panowało między matką i synem. Artur wyglądał raczej na młodszego brata niż na syna hrabiny. Lecz nie tylko w rysach zachodziło tak nadzwyczajne podobieństwo; uderzało ono także w całej budowie ciała, w całej fizycznej konstytucyi obojga.

Równie jak hrabina był i Artur silnej budowy ciała, rumianej i świeżej cery. Wysoki, barczysty, z wypukłą piersią, zdawał on się opływać w zdrowie i siłę. Tylko w wyrazie oczu zachodziła uderzająca różnica. Kiedy oczy hrabiny drżały ciągłym niepokojem i trwogą, w spojrzeniu Artura malowały się boleść, smutek, zupełne rozstrojenie umysłu, a czasem jakaś ponura trwoga, jakieś rozpaczliwe poddanie się srogości zapadłego już wyroku.

Siedział on w wielkiem krześle poręczowem, twarz okrywał obiema rękami, i zdawał się nad czemś głęboko rozmyślać. Lecz rozmyślania te musiały być nadto cierpkie i

przykre, bo zimny dreszcz wstrząsał od czasu do czasu członki młodzieńca, a ciężkie westchnienia wydobywały się razporaz z piersi.

„Arturze“ — rzekła hrabina czule. — „Tyś znowu bardziej cierpiący?“

„Bynajmniej“ — odparł chłodno młodzieniec — „jestem dziś silniejszy niż zwykle.“

Łza zalśniła w oku hrabiny, i zamilkła na chwilę. Potem powstała z kanapy, i rzekła zbliżając się do okna:

„Co za rozkoszna wiosna na dworze! Nie miałżebyś ochoty przejechać się konno?“

„Oh“ — odrzekł Artur starając się ukryć niecierpliwość — „ostatnia przejażdżka tak mnie znużyła, że przyrzekłem sobie nie używać jej przynajmniej przez kilka tygodni.“

I znowu grobowa cisza zaległa salonik. Przerwała ją po niejakim czasie hrabina.

„Czy nie mówiłam ci“ — ozwała się po chwili — „że p. Falk uległ wreście moim prośbom, i dziś jeszcze przybędzie do nas?“

„Słyszałem o tem jeszcze przedwczoraj“ — odpowiedział Artur, a uśmiech gorzkiej ironii zaigrał mu na ustach.

„Nasz medyk stołeczny“ — ciągnęła hrabina dalej — „czyni cudowne słyszę kuracye. Pani Erazmowa nie mogła mi się naopowiadać o dziwach, jakie robi codziennie z pacyentami, o których już zdesperowano. Gdy się rozeszła pogłoska, że chce powracać za granicę, zkąd przed laty trzydziestu przybył, padła śmiertelna trwoga na całe miasto. Oprócz tego jest pan Falk człowiekiem rzadkiej szlachetności serca i niezrównanej prawości charakteru. Córka jego liczy się do najpierwszych piękności, i jej to zamiłowaniu w życiu wiejskiem mam podziękować właściwie, iż zawołany lekarz nie wahał się na czas dłuższy opuścić miejską praktykę. Ocknij się więc z tych ponurych myśli mój synu. Gdybyś nawet w istocie był chorym, to lekarz tak znakomity umiałby zaradzić wszelkiemu złemu.“

„Ah, taksamo mówiono o doktorze Assandri;“ — odparł z gorzkim uśmiechem młodzian. — „Pokładaliśmy w nim tak niezawodne nadzieje, a jakiż tego skutek?“

„Ależ mój drogi! Assandri zraził cię zaraz na wstępie swoją opryskliwością, swojem rubasznem postępowaniem, nie chciałeś wierzyć, gdy cię na wszystko zapewniał, iż zdrowszym jesteś od niego samego.“

Turkot zajeżdżającego powozu przerwał rozmowę matki i syna. Pani Drużewska przyskoczyła do okna, a radość zabłysła w jej obliczu.

„Pan Falk! Dotrzymał wreście przyrzeczenia! Oto wysiada.“

Był to rzeczywiście dr. Falk, najsłynniejszy lekarz stolicy. Ulegając usilnym prośbom hrabiny, przybył on wraz z swoją siedmnastoletnią córką Maryą na letni pobyt do boryńskiego dworu. Wyglądający przez okno Artur ujrzał w nim mężczyznę w podeszłych latach, nizkiego wzrostu, rozsądnej i przyjemnej fizyognomii. Włos nieco rzadszy na skroniach odsłaniał tem wydatniej wysokie, wyraziste czoło, pod którem dwoje bystrych i przenikliwych jaśniało oczu. Cała jego osobistość wzbudzała na pierwsze wejrzenie zaufanie, i zniewalała mimowolnie do szacunku i poważania. Siedząca obok niego córka była w samej rzeczy tak piękną, jak o tem hrabina nadmieniła.

Dość było spojrzeć na jej twarz idealnej regularności rysów, na to dwoje błękitnych oczu gorejących przedziwnym blaskiem, na te usta jak rozwierający się pączek róży, na to czoło tak gładkie i jasne, że każde marzenie dziewicze zda się przezierać przez nie, dość było na to wszystko raz tylko rzucić okiem, aby przejąć się uczuciem podziwu i uwielbienia. Jakże pięknie odbijała jej śnieżna białość płci od kruczych splotów włosów i czarnych łuków brwi! w jak uroczą harmonię zlewały się wszystkie kształty jej ciała! Wspierając się na ramieniu ojca wyskoczyła z powozu tak lekko i zwinnie, że zdawało się; jakoby nie dotknęła nawet ziemi końcem swej drobnej nóżki. Twarz jej zarumieniona skokiem wydała się jeszcze piękniejszą i powabniejszą.

Widząc to Artur uczuł w sobie jakieś dziwne wzruszenie. Lica zapłonęły mu gorączkowym ogniem, oko rozpromieniło się nieznanym wprzódy żarem, i mimowolnie zawołał w zachwyceniu: „O jakże piękna!“

Lecz cała ta nagła zmiana trwała przez krótką tylko chwilkę. Wnet zasępiło się na nowo lice młodziana, gorzki uśmiech wykrzywił mu usta, dzika rozpacz zamigotała w oczach.

„Oh“ — krzyknął rozdzierającym głosem — „cóż mię piękność obchodzi — mię, który tylko dwa lata życia mam jeszcze przed sobą.“

Po tych słowach upadł na stojący w pobliżu fotel, skrył znowu twarz w obie dłonie, i jęknął głucho.

Hrabina tymczasem pospieszyła na powitanie tak gorąco upragnionych gości, i nie dozwalając wymówić się strojem podróżnym, wprowadziła ich do salonu, w którym pozostał Artur.

„Mój syn, panie konsyliarzu“ — rzekła zaraz na wstępie — „pan dr. Falk, panna Marya, Arturze.“

Nastąpiły zwyczajne ukłony i grzeczności, a lekarz wpatrzył się przenikliwie w twarz młodziana. Widząc jednak siłę i zdrowie w całej postaci, powiódł zdziwionem okiem po matce. Hrabina odgadła zadziwienie lekarza, uśmiechnęła się boleśnie, i rzekła:

„Przyszły pacyent panie konsyliarzu!“

„A jeśli tak“ — odparł lekarz dobrodusznie — „to możemy się trochę poufalej przywitać.“

I podał rękę Arturowi, chcąc tym sposobem zbadać pokryjomu bieg pulsu. Lecz i ta próba wypadła nad spodziewanie lekarza; wzruszył bowiem ramionami, i uśmiechnął się z lekką ironią. Poczem umówiwszy się jeszcze z hrabiną co do godziny pierwszej konsultacyi jutrzejszej, odszedł z córką do przeznaczonych sobie pokojów.

„I jakże podobał ci się Boryń, Maryo?“— zapytał doktor gdy lokaj wyszedł.

„Jestem zachwycona;“— odpowiedziała młoda dziewczyna.— „Okolica prześliczna; uprzejmość hrabiny jest w każdym względzie szczera i prawdziwa; cały jej sposób obejścia się ma tyle uroku, że mimowolnie pociąga serce. Lecz coż mniemasz o chorym?“

„Szczególna“ — odrzekł lekarz wzruszając ramionami— „trzydzieści lat poświęcam się mojemu zawodowi, a nigdy jeszcze nie proszono mię tak usilnie o pomoc dla chorego, któryby jej tak mało potrzebował. Toć młody hrabia — samo zdrowie, życie. Budowa atletyczna, pierś wypukła, cera świeża; wszystko w nim znamionuje siłę i czerstwość. Puls bije jak u najzdrowszego człowieka. Doprawdy z wielką niecierpliwością czekam jutrzejszej konsultacyi.“

II. ŚMIERĆ W SPUŚCIŹNIE.

Nazajutrz rano odbyła się długa rozmowa między hrabiną a lekarzem. Hrabina opowiedziała całą historyę swojego życia. Mąż jej hrabia Henryk Drużewski umarł na suchoty w dwudziestym czwartym roku. Na tążsamą chorobę, w tejżesamej fatalnej porze wieku umarł jego ojciec i dziad, umarł pradziad. Słowem suchoty były familijną chorobą całej męzkiej generacyi domu Drużewskich, i jak daleko tradycya rodowa sięgała, nie przeżył żaden Drużewski dwudziestego czwartego roku życia. Wszystkich zmiatała śmierć powolna, oddawna przewidziana, naprzód obliczona i oczekiwana. Syn odbierał ją w spadku po ojcu, a zostawiał w spuściźnie synowi i wnukowi.

„Byłam sierotą na opiece dalekich krewnych;“ — ciągnęła hrabina smutno. — „Miałam przytułek u mojego wuja, właściciela małej wioski o kilka mil od Borynia. Tamto poznał mię przypadkowo mój przyszły mąż hrabia Henryk Drużewski. Liczył on wtedy 22 lat, i słynął daleko z zacności charakteru i najlepszego serca. Twarz jego piękna i szlachetna nacechowana była zawsze tak głębokim smutkiem, tak żywem cierpieniem, że spojrzawszy jednego razu uważniej na nią, mimowolnie zakręciła mi się łza w oku. Hrabia spostrzegł moje wzruszenie, i nagrodził je niebawem namiętną miłością.“

„Smutna tradycya o rodzinie jego była mi wcale nieznaną. Wuj mój ukrywał mi ją starannie, bo jak się poźniej dowiedziałam, układał dawno moje małżeństwo z hrabią. Pan Drużewski zaczął bywać u nas codziennie, a wkrótce oświadczył się stanowczo. Przyjęłam jego rękę z radością. Schlebiało wielce próżności młodej dziewczyny, iż będzie nosiła tytuł hrabiny, i wstąpi w najwyzsze koła społeczeństwa. Nie zważałam, że wszyscy szeptali sobie coś o hrabiu i mojem zamężciu, że przyjaciołki moje spozierały na mnie z politowaniem i współczuciem. Byłam nazbyt szczęśliwą, abym się czegokolwiek złego mogła domyślać. Nadszedł wreście dzień ślubu. Stroiłam się właśnie w szaty weselne, gdy ciotka moja zażądała pomówić ze mną. Poruszona wyrzutami sumienia odkryła mi wszystko, i wystawiła całe niebezpieczeństwo małżeństwa z człowiekiem, który w piersiach swoich nosił zaród nieochybnej śmierci. Smutno mi się zrobiło w moim wieńcu na głowie, i serce zabolało gwałtownie pod suknią weselną. Ten którego na prawdę pokochałam, którego miałam poślubić, był raczej trupem niż żyjącą istotą! Z początku zakręciła mi się głowa, zadrzały kolana; atoli opamiętałam się jakoś, i weszłam prawie z uśmiechem na ustach do sali balowej.

„Zerwij wszystko!“ — rzekły mi dwie przyjaciołki do ucha. — „Na miłość Boga ostrzeżcie ją!“ — szeptały tu i owdzie znajome i nieznajome usta. A jam drżała na całem ciele, lecz pierwsze moje postanowienie nie zachwiało się wcale.“

„O! bo też byłoby to okrucieństwem przyjść do nieszczęśliwego, którego się kocha i szacuje, i powiedzieć mu nielitościwie: „Odrzucam z obrzydzeniem twoją rękę, bo ona ciągnie

mię z sobą do grobu; uciekam od twojego oblicza, bo na niem śmierć wyryła już swoje znamię; gardzę twojem imieniem, bo imię twoje, to echo spadającego wieka od trumny!"

„O, byłoby to srogością godną tygrysiego serca! Przystąpiłam więc śmiało do ołtarza, i pewnym głosem przysięgłam dozgonną wierność człowiekowi, który żywot swój na godziny już liczył..... W rok poźniej byłam matką, w półtora wdową. I od tejto dopiero chwili zaczyna się właściwie pasmo moich cierpień i nieszczęść. Ile razy rzuciłam okiem na kolebkę mojego dziecięcia, tyle razy przyszła mi na myśl straszna tradycya o jego rodzie, o tej okropnej spuściźnie, jaką miał odziedziczyć po nieszczęśliwym ojcu. Nie będę ci opowiadać panie konsyliarzu, ile zmartwień przebyłam, ile męczarni wycierpiałam, ile łez uroniłam. Chciałam koniecznie uratować dziecię moje, i bogdajby ofiarą życia własnego okupić mu zdrowie i przyszłość. Szukałam rady najsłynniejszych lekarzy, zwiedziłam różne kąpiele zagraniczne, chwytałam się wszelkich środków, aby jaknajwcześniej wytępić w nim zaród strasznej choroby, która mu kiedyś groziła.

„I zdawało się że Bóg litościwy wysłuchał moich modłów. Najsumienniejsi lekarze szydzili nakoniec z moich obaw. Artur urosł w nadobnego młodziana, i nie miał w niczem najmniejszego podobieństwa do ojca. Jak mój mąż nieboszczyk był zawsze szczupłym, bladym, chorowitym i posępnym, tak Artur stał się wkrótce silnym, czerstwym, wesołym na twarzy. Nie było rówieśnika, któryby mu dotrzymał kroku w biegu, lub dorównał w jakiejkolwiek igraszce, potrzebującej sił i zręczności. Ufałam tedy zapewnieniom lekarzy, i uspokoiwszy się zupełnie, troszczyłam się jedynie odpowiedniem wykształceniem niepowszedniego umysłu Artura. Czynił on we wszystkich przedmiotach zadziwiające postępy; radość moja nie miała granic. Lecz właśnie wśród tej radości, wśród tego błogiego spokoju, zdarza się wypadek, który niweczy naraz całe moje szczęście, obala wszystkie nadzieje. Gadatliwość starego sługi wyjawiła dwudziestoletniemu już Arturowi całą złowrogą tradycyę, przywiązaną od kilku pokoleń do rodziny Drużewskich. Żywa fantazya młodzieńca nadała smutnemu podaniu barwę jakiegoś nieuniknionego fatalizmu, któremu bez wszelkiego oporu poddać się musi, i poddać się powinien. Powoli zrodziło się w nim silne przekonanie, niezbite przeświadczenie, że śmierć w dwudziestym czwartym roku życia odebrał w spuściźnie po ojcu, i że nic go wybawić nie zdoła od tego losu. Zaszła też odtąd straszna zmiana w całym jego charakterze. Znikła wesołość z twarzy, znikła swoboda młodzieńczego umysłu, zatarły się wszystkie dawniejsze chęci i skłonności. Głęboki smutek zalegał mu czoło, boleść i rozpacz osiadły w oczach, gorycz zalała serce."

„Ach mamże powtarzać panu nową odtąd historyę moich cierpień?" — zawołała hrabina zalana łzami. — „Zaczęło znowu snuć się pasmo mojej niedoli, i aż po dziśdzień ciągnie się nieprzerwanie. Nowa choroba moralna Artura wzmagała się z każdym dniem, a dziś doszła już do najwyższego stopnia. Dziś nic go już nie poruszy, nic nie zajmie, nie nie rozweseli. A nawet ta żywa miłość dla mnie, która ani na chwilę nie ustąpiła z jego serca, i ona nawet stała się teraz dla niego źródłem cierpień i męczarni. Każda bowiem chwila przypomina mu, że za dwa lata nie ujrzy mię więcej."

„Starałam się wszelkiemi siłami zaradzić tej strasznej chorobie moralnej zaraz w pierwszych jej zarodach. Szukałam znowu rady słynnych lekarzy. Wszyscy wzruszali ramionami, i wszyscy podawali jeden i tensam środek: rozrywać wszelkiemi siłami zaprzątniony umysł, i napływem wrażeń zewnętrznych leczyć chorobliwą fantazyę."

„Potrzebaż panu mówić, że próbowałam wszelkich środków ku temu, że nie szczędziłam żadnych zabiegów, żadnych kosztów, aby do pożądanego doprowadzić celu. Zwiedziłam wszystkie prawie kraje europejskie, zatrzymywałam się dłużej po wszystkich celniejszych stolicach; lecz wszystko napróżno! Po dwurocznej pielgrzymce wróciłam do ojczyzny, nie odniosłszy żadnego skutku, nie widząc najmniejszego polepszenia. Dziś w tobie jednym pokładam całą moją nadzieję, w twojej radzie widzę jedyne zbawienie dla mnie."

(C. d. n.)

LIST Ś. BRUNONA

do Cesarza Henryka II o Bolesławie Chrobrym.

List ten wynalazł niedawno uczony rossyjski Hilferding w jednej z bibliotek miasta Hamburga, i podał w oryginale łacińskim do pisma kwartalnego *Ruskaja Biesieda*, zkąd w tłumaczeniu polskiem przeszedł ten ciekawy zabytek do *Gazety Warszawskiej*. Powtarzamy tu przekład warszawski, wypuszcza-

jąc niektóre przypiski filologiczne, i poprzedzając go kilką szczegółami objaśniającemi. Św. Bruno był najprzód arcybiskupem magdeburskim, a potem apostołem u pogańskich Prusaków, gdzie w lat dziesięć po umęczeniu św. Wojciecha, około r. 1009, zginął również męczeńską śmiercią. List niniejszy pisany jest niewielą laty przed zgonem męża świętego, w Polsce, w czasie wojny między cesarzem Henrykiem II a Bolesławem Chrobrym. Poganie słowiańscy, z którymi cesarz sprzymierzał się przeciw Chrobremu, byli nadbaltyccy Lutycy, a wspomniony w liście *Zwarasi*, jestto jeden z ich głównych bożków. Św. Bruno doznawał wiele łask od Chrobrego, i stara się teraz przejednać mu cesarza. Oto osnowa całego listu:

„Mężowi bogobojnemu królowi Henrykowi B. (*Bruno*), ten, który nic więcej tylko nędzny. Co tylko przystoi królowi, i co się podoba wszystko widzącemu Panu Bogu, powinno być bez wątpienia wiadomem pobożnemu królowi. Nie masz nikogo z żyjących na ziemi, któryby więcej kochał zbawienie twoje w Bogu, i któryby ci życzył większej czci na świecie, pełnym mnogich dolegliwości. Był to twój najdroższy biskup Bruno, który, gdym bawił w ziemi węgierskiej, opowiadał mi, że ty o królu, pobożną o mnie zachowujesz troskliwość, i że nadzwyczaj się boisz, abym nie zginął. Co jużby się stało dawniej lub teraz, gdyby dopuścił tego, czego i dziś nie dopuszcza, łaskawy Bóg i Pan mój Najświętszy Piotr. Niech cię Bóg nagrodzi na ziemi żyjących, że ty najlepszy królu, który prawie całym światem rządzić powinieneś, raczyłeś w imię pańskie mieć tę szlachetną troskliwość. Dzięki Bogu! ty będąc królem według mądrości, którą ci Bóg dał, starasz się być dobrym i katolickim rządcą, takim pobożnym i silnym sternikiem, jaki jest kościołowi świętemu potrzebny. Podobnież i my jakkolwiek nędzni, jednak twoi, abyśmy nie spędzili napróżno tego żywota, i nie znaleźli się nagimi w dzień śmierci, o ile nam udziela mocy miłosierdzie Ducha Świętego, staramy się działać, pracować według tych słów Pawła Ś.: *Non facio animam meam pretiosorem quam me.* Więc co się mnie tyczy, nic nie czynię jeno złe; co się pana tyczy, Ten gdy chce, prędzej niż słowo (*wymówisz*), czyni wszystko dobre. Chwalebną jest rzeczą odkrywać i wyznawać dzieła Boże; najbardziej milczyć niepowinienem przed tobą, z którego świętej namowy jestem biskupem, (*ja*) który przykładem Świętego Piotra Ewangelię Chrystusa narodom roznoszę. Już zapewne rok cały wypełnił dnie i miesiące (*od tego czasu*), gdy my opuściliśmy Węgry, gdzieśmy długo napróżno siedzieli, i zwróciliśmy drogę do najokrutniejszych ze wszystkich pogan, Pieczyngów. Władzca Rusów wielki państwem i bogactwami, przez miesiąc mię zatrzymał i działając przeciw woli (*mojej*), jakobym dobrowolnie chciał zginąć, namawiał mię, abym nie szedł do tak bezrozumnego narodu, gdziebym zyskał nie dusze, lecz samą śmierć i to najhaniebniejsza. A gdy już nie mógł, i gdy jakieś widzenie o mnie niegodnym go zatrważało, dwa dni z wojskiem mię odprowadzał aż do ostatecznych granic swego państwa, które z powodu wałęsającego się nieprzyjaciela nader mocną i długą palisadą zewsząd opasał. Zlazł z konia na ziemię; ja szedłem naprzód z towarzyszami, on zaś postępował za nami ze starszyzną swoją i tak weszliśmy za wrota; stanął sam na jednem wzgórzu, my zaś stanęliśmy na drugiem. Objąwszy rękoma krzyż, sam go niosłem spiewając pieśń cudną: Piotrze, kochasz mię, paś owce moje. Po ukończeniu antyfony, władzca przysłał do nas jednego ze starszyzny, w tych słowach: Doprowadziłem cię tam, gdzie się kończy moja ziemia, a nieprzyjaciół się zaczyna. Dla Boga proszę, abyś na hańbę moją nie stracił życia młodzieńców. Wiem że jutro przed tercyą bez korzyści, bez przyczyny, masz ponieść śmierć gorzką. Odpowiedziałem: Niech ci Bóg raj otworzy jak ty nam otworzyłeś drogę do pogan. Cóż więcej? bez żadnej przeszkody szliśmy dwa dni; trzeciego dnia to jest 6 lutego, trzy razy, rano, w południe i wieczór, prowadzono nas wszystkich ze schylonemi karkami na zabicie, (*nas*), którzy tyle razy od napastujących nieprzyjaciół (podług słów Pana i Wodza naszego Piotra) dziwnym cudem uszliśmy bez krzywdy. W niedzielę przyszliśmy do większego zebrania ludu, i pozwolono nam żyć, pókiby przez szybkich posłańców cały naród nie był zwołany na wiece. Ku wieczorowi więc w inną niedzielę przywołani byliśmy na zgromadzenie, a bito nas i konie; rzuca się na nas liczny tłum z krwawemi oczami i wznosi krzyki straszliwe; tysiącem toporów, tysiącem mieczów nad naszemi szyjami obnażonych, napróżno grożą nas pozabijać; byliśmy dręczeni aż do nocy, ciągani w różne strony, póki ci, co nas z rąk ich przemocą porwali, starsi ziemi usłyszawszy mowę naszą, nie poznali jak ludzie rozumni żeśmy dla dobra na ich ziemie weszli.

Takim sposobem podług tego jak rozkazał Bóg uwielbiony i Piotr najdroższy, pięć miesięcy przebyliśmy wśród tego narodu, trzy części obeszliśmy, czwartej niedotykaliśmy, z której przyszli do nas posłańce od lepszych. Ten pokój mówili przez ciebie jest uczyniony. Jeżeli będzie trwały jak ty powiadasz, wszyscy chętnie zostaniemi chrześcijanami. Jeżeli zaś ów władzca Rusów będzie się chwiał w wierności, wtedy będziemy mówili tylko o wojnie, a nie o chrześcijaństwie. Z tem przybyłem do władzcy Rusów, który czyniąc zadosyć dla miłości Boga, dał *(im)* w zakład syna. I wyświęciliśmy biskupa z naszych, którego razem z synem usadowił w środku ziemi *(Pieczyngów)*. I stało się na większą chwałę i cześć Boga Zbawiciela prawo Chrystusowe wśród najgorszego narodu ze wszystkich pogan, jacy są tylko na ziemi. Ja zaś teraz udaje się do Prusaków, gdzie mi przewodniczyć będzie ten, który mi przewodniczył *(dotąd)*, który wszystko to uczynił i nadal czynić będzie miłościwy Bóg i Pan mój najdroższy Piotr. Słyszałem o Czarnych Węgrach, do których przyszło poselstwo Świętego Piotra, które nigdy nie przychodzi naprózno, jakkolwiek naszych, (co Bóg niech przebaczy) jakiś wielki grzech zaślepia, którzy nawróciwszy się wszyscy stali sie Chrześcijanami. Wszystko to jedynie chwała Boża i najlepszego Piotra; co się mnie tyczy, to nic prócz grzechu *(do mnie nie należy)*, i samo to dobre byłoby zgubionem, gdyby Bóg miłosierny nie działał, nie pomnażał, i nie przysparzał przez krew świetych i szczególniej tych, którzy ją w naszym wieku na ziemi wyleli. Panie mój! *(do Henryka II)* wszystko dobre uczyniłeś dla mnie. Niech Bóg ci odda nagrodę przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych, najbardziej że masz o mnie staranie, abym przez błąd młodości nie oddawał się rzeczom światowym, i nie opuszczał spraw duchownych.

Ztąd to pochodziło, że kiedym odchodził, tyś się zdawał zagniewanym. A przetoż mnie i wiele spraw moich śmiechu godnych, przed rycerzami w mojej nieobecności wyszydzałeś! Tych trzech rzeczy, miłości, gniewu, i szyderstwa, gdybyś był mię nie kochał, nigdybyś mi nie okazał, i gdybyś nie był dobrym, nigdybyś nie miał w nienawiści tego, co ci się złem we mnie zdawało. Mówię na pocieszenie: dopóki zechce święty Bóg mieć miłosierdzie ku mnie za przyczynieniem się błogosławionego Piotra, nie zginę. I chociaż jestem brzydkim i złym, chciałbym z łaski Bożej być dobrym. Mówię jako modlitwę: oby wszechmocny i miłosierny Bóg i mnie dawnego grzesznika poprawił, i ciebie od dnia do dnia czynił lepszym królem przez nieustanne dobre uczynki. Gdyby kto nawet powiedział, że ku temu Panu *(Bolesławowi)* większą mam wierność i przyjaźń, byłoby to prawdą; kocham go zaiste jak duszę moją i więcej niż życie moje; ale biorę za świadka tego, przed którym nic nie jest ukrytego, wspólnego Boga naszego, że kocham go dla twojego dobra, i dla tego o ile zdołam, chce go ku tobie nawrócić. Jeżeli jednak wolno bez obrazy królewskiej tak mówić, to czyż dobrze jest prześladować chrześcijanina *(Bolesława)*, a mieć w przyjaźni naród pogański? Jakiż związek Chrystusa z Belialem, jakież porównanie światła z ciemnością; jakże się połączą Zwarasi lub diabeł z wodzem świętych, waszym i naszym Maurycem? Jakim sposobem schodzą się święta włocznia i chorągwie diabelskie, żywiące się krwią ludzką? Nie uważasz że za grzech, o królu, że co okropnością jest wymówić, głowa chrześcijańska pada w ofierze pod chorągwią diabelską? Czyż nie lepiej byłoby mieć takiego człowieka wiernym sobie, a z jego pomocą i radą mógłbyś i daninę pobierać i święte chrześcijaństwo w mieście pogańskiem zaprowadzić. O jakże chciałbym żebyś tego o którym mówię, władzcę Bolesława miał nie za nieprzyjaciela, lecz za wiernego sobie. Być może, że odpowiesz: chcę. Okaż więc miłosierdzie, porzuć złość; jeżeli chcesz mieć wiernego *(sobie)*, zaprzestań prześladować; jeżeli go chcesz mieć rycerzem, uczyń za pomocą dobra, aby go ono ku tobie skłoniło. Strzeż się o królu, aby — jeśli wszystko będziesz czynił przemocą, a nie miłosierdziem, które kocha sam dobry Jezus, aby się przypadkiem nie rozgniewał na ciebie Ten *(Jezus)*, który ci teraz pomaga. Nie będę mówił na przekór królowi. Niech się stanie tak jak Bóg chce i jak ty chcesz. Czyż nie lepiej walczyć z pogany za chrześcijaństwo, niż wojnę sprowadzać na Chrześcijan dla ziemskich honorów. Zapewne człek zamierza, Bóg uderza. Czyliż król *(Henryk II)* nie wtargnął do tej ziemi (t. j. do ziemi Bolesława) z poganami i chrześcijanami, z siłami królestwa? a której *(ziemi)* jednak czyliż Święty Piotr, za hołdownika którego on *(Bolesław)* się uznaje, i Święty Wojciech męczennik nie uchronili? Gdyby oni nie pomagali, nigdyby w ziemi jego nie spoczęło tych pięciu świętych męczenników, którzy zabici krew wylali i pod boskiem przerażeniem wielu cudów czy-

nią. Panie mój nie jesteś ty królem słabego serca co jest szkodliwem, lecz sprawiedliwym i mocnym, co się *(wszystkim)* podoba, brakuje ci tylko abyś był miłosiernym, i nie zawsze przemocą lecz i miłosierdziem naród podbić *(się starał)*, a wtedy co dzisiaj z trzech stron masz wojnę, nie miałbyś żadnej. Lecz coż nam do tego? Niech rozważy w swojej mądrości król sprawiedliwy i dobry, niech rozważy i każdy dobry w udzielaniu rad biskup, hrabia i książę. Co się mojej czyli raczej Bożej sprawy dotycze, powiem jedno, drugie, i nic wiecej niedodam. Dwie wielkie przygody, których Bóg i Piotr wojujący doznali w grubem pogaństwie, uczuje silnie i nowy kościół *(u Prusaków?)*. Naprzód, władzca Bolesław, który siłami ducha i ciała gorąco zachęcał mię do nawracania Prusaków, i postanowił żadnych na to kosztów nie szczędzić, oto wstrzymanym został przez wojnę, którą najmędrszy król uczynił dla niego konieczną, (przez co) pomódz mi w opowiadaniu słowa Bożego nie ma ani czasu, ani środków. Powtóre, gdy Lutycy są poganami i bałwanom cześć oddają, nie natchnął Bóg serca królewskiego, aby ich dla chrześcijaństwa w chlubnej wojnie pokonać, co podług rozkazu Ewangelii znaczy zmusić do wejścia. Czyliż nie byłoby wielkim honorem i wielkiem zbawieniem dla króla, gdyby on i kościoł pomnożył i imię apostolskie u Boga *(sobie)* wyjednał, pracując nad tem aby pochrzcić pogany i pokój zawrzeć z tymi, co w pomoc idą, ale to z chrześcijanami. Lecz całe złe zawiera się w tem, że ani król nie wierzy Bolesławowi, ani ten rozgniewanemu królowi. Niestety nieszczęśliwe nasze czasy! O święty cesarzu, wielki Konstantynie, o wzorze pobożności, najlepszy Karolu, jest teraz taki co chrześcijanina prześladuje; a prawie nikogo nie masz, ktoby nawracał poganina. Dla tego, o królu, jeżeli pokój dasz chrześcijanom i za chrześcijaństwo walczyć będziesz z poganami, to w dniu sądu ostatecznego, gdy wszystko porzuciwszy staniesz przed obliczem Pana, tem mniejszej doznasz boleści, a tem większą uczujesz radość, im więcej będziesz mógł wspomnieć dobrego, któreś zdziałał. Czyliż się król nie boi o religię, gdy człowiek pomny złego łączy się z poganami? Nie żądaj tylko rzeczy niepodobnych: inaczej jakże chce król nasz, (aby do zgody przyszło?) Ten Bolesław zapewnia, że na wieki cię nie porzuci, że w pokonywaniu pogan zawsze ci będzie najgorliwiej pomagał i we wszystkiem chętnie ci służył. O jakież dobro i jaka korzyść byłaby dla strzeżenia chrześcijaństwa i nawracania pogan, gdyby jak ojciec Mieszko zmarłemu cesarzowi, tak syn Bolesław pomagał tobie, królowi naszemu, któryś pozostał jedyną nadzieją świata.

Tymczasem niech będzie wiadomo królowi, że biskup nasz z czcigodnym mnichem Rodbertem, udał się na morze opowiadać Ewangelię Szwedom. Z największą pewnością mówili przychodzący ztamtąd ludzie, że samego władzcę szwedzkiego, którego małżonka dawno już była chrześcijanką, Bogu niech będą dzięki, ochrzcił. Z nim razem tejże łaski dostąpiło tysiąc ludzi i siedm. Inni oburzeni chcieli ich zabić, *(a ci)* mając nadzieję wrócić z biskupem, wszyscy do czasu miejsce opuścili. Ludzie wysłani dla dowiedzenia się o ich położeniu i powrocie nie wracają. Cokolwiek powiedzą słusznie tobie jako królowi, który mię przygotował do opowiadania słowa Bozego, ja, sługa twój dokładnie doniosę. Coż więcej? wiedz a biorę Chrystusa na świadka, że gdziekolwiek mogę, wszędzie najwierniej trzymam twą stronę. I chociaż nie umiem modlić się przed obliczności Pana, jednak nie przestanę wzdychać, aby cię błogosławiła zbawcza moc Boża, i aby w każdej sprawie towarzyszyła ci łaska Piotra. Ty zaś jak przystoi na pobożnego króla, nadzieję świata, nie przestawaj dawać nam wszelką radę i pomoc, jaką tylko możesz dla nawrócenia Lutyków i Prusaków, albowiem do nawrócenia twardych serc tych pogan, z pomocą Ducha św. praca nasza ma być skierowaną, i wszelki trud i staranie ma być teraz niezmordowanie użytem, przy pomocy Piotra walczącego.

Żegnam cię, o królu! Żyj zaprawdę dla Boga, pamiętając o dobrych uczynkach; zakończ życie zestarzałym w cnotach i po długich latach żywota.“

Starodawne prawa Indów o kobiecie zawierają między innemi co następuje: „Nie bij kobiety chociażby stokrotnie zawiniła; nie bij jej nawet kwiatem. Jedna matka znaczy więcej niż tysiąc ojców; ona nosi i karmi dziecię, a temsamem jest już godną najwyższej czci. Jeśli wielbimy ziemię, dlaczegoż nie mielibyśmy tembardziej wielbić matkę? Przeznaczeniem niewiasty — dom. Przybytek, którego nie przyozdabia kobieta, nie jest prawdziwym domem. Niech utrzymuje schludność i porządek w mieszkaniu; niech unika rozmów z obcymi mężczyznami; niech nie wierzy słowom fałszywych żebraków; niech przed brzaskiem dnia nie wychodzi z domu, nie szuka rozrywek po drodze, nie zatrzymuje się przy studniach publicznych; niech wstrzymuje się od mięsa i gorących napojów; niech wszelkiemi

siłami wystrzega się niepotrzebnych wydatków, sprzeczek, lenistwa i zgryźliwego humoru. Przed roznieceniem świętego ognia nie wolno jej pomyśleć o przystrojeniu swojej osoby; nieumytemi rękami nie powinna dotknąć się ani czary do picia, ani sita, ani jakiegokolwiek naczynia z mlekiem albo inną żywnością. Gdy poczyści naczynie, zamiecie izbę, przywdzieje suknie białe, a potem umyje sobie ręce i nogi, wypłucze usta, i napije się wody, niech uda się na święte miejsce, i uczci roślinę *Cusa* jakoteż resztę kwiatów; niech świeżem masłem posmaruje pożywienie dla męża i ofiary przeznaczone dla bogiń.... Dom swój powinna utrzymywać czysto i schludnie, być przytem skromną, troskliwą o zapasy domowe, mieć umysł swobodny i dobre chęci. Do męża powinna mówić zawsze z uczuciem; nie usiędzie, kiedy on stoi, ani będzie brała pierwszy krok przed nim. Nie potrzebuje też wpatrywać się w niego bez przerwy. Powinna podawać mu wszelką pomoc gdy ma ból głowy, i wychodzić naprzeciw niemu, gdy powraca znużony z dalekiej drogi. Kobieta, która po śmierci męża wstąpi na jego stos gorejący, podniesiona będzie do nieba jako równa w cnotach miłej bogom Arundhati. Kobieta towarzysząca mężowi na drugi świat, będzie tyle lat mieszkała w kraju radości, ile jest włosów na ciele człowieczem, to jest 35 milionów. Jak myśliwy dobywa węża z lochu, tak ona wydobędzie swojego męża z krainy smutku, i będzie wraz z nim opływać w wszelkie radości. I będzie tak długo cieszyć się u boku męża, jak długo trwać będą czternaście panowań boga Indra. Gdy mąż umrze w obczyźnie, powinna wdowa zawiesić sandały swoje na piersi, i czystą wstąpić w płomienie.

Pochodzenie i nazwa kontradansu. W roku 1691 została królewna polska Teresa Kunegunda Sobieska, najstarsza córka króla Jana III i Maryi Kazimiry, zaślubiona z elektorem Bawarskim Maxymilianem Emmanuelem II. Brat oblubienicy Jakób odprowadził siostrę na dwór pana młodego, który wówczas jako cesarski gubernator Niderlandów rezydował w Bruxelli. Przejeżdżając przez Niemcy, zatrzymał się cały orszak weselny przez czas dłuższy na dworze elektora Brandeburskiego Fryderyka w Berlinie. Nastąpiły huczne festyny na przyjęcie przyszłej elektorowej Bawarskiej i jej brata. Pomiędzy różnemi zabawami dworskiemi i tańcami podobały się najbardziej wiejskie tańce angielskie, wprowadzone na dwór Berliński przez księżnę elektorowę Brandeburską, spokrewnioną z królewskim domem w Anglii. Z festynów berlińskich rozeszły się one z towarzyszami i towarzyszkami Teresy Kunegundy na dwory Bawarski i Warszawski. Ztamtąd rozniesiono je dalej, i nie było wkrótce zabawy, któraby się obeszła bez pięknych *country-dances* (czytaj kantry-danses) t. j. „wiejskich tańców“ angielskich. Nieznajomość angielszczyzny zamieniła nazwę pierwotną w kontradans, jakoby z francuzka *contre-danse*. Donosi o tem nadworny lekarz króla Jana III Sobieskiego, Anglik Connor, który znajdował się w orszaku królewnej polskiej w Berlinie, a pozostawił ciekawy opis kraju i dziejów polskich.

Obowiązki poddanych w czasach feudalnych. W pewnej baronii francuskiej było obowiązkiem poddanych zawieźć na zamek dziedzica czyżyka na czterokonnym wozie. W niektórych okolicach niemieckich obowiazywauo wassalów przynieść panu swojemu co roku w dzień ś. Marcina dwa garnki pełne much. We Frankonii przynosił lennik baronowi w tymżesamym dniu ptaszka, znanego u nas pod imieniem „wołowe oczko.“ Gdy opat z *Figeac* wjeżdżał do miasta, witał go pan *de Montbrun* i *de Laroque* w stroju arlekińskim o jednej nodze gołej. Gdy opat złaził z konia, trzymał mu pan de Montbrun strzemię, przy uczcie zaś stał za jego plecami i dolewał mu wina na zawołanie. *Seigneur de Pacé* miał prawo zaprządz do roboty wszystkich przechodzących kotlarzy. W dzień ś. Trójcy zwoływał do zamku wszystkie ładne kobiety z Saumur i okolicy. Każda musiała przynieść z sobą cztery szelągi i pełny kapelusz róż. Ładniejsze z nich musiały tańcować na zamku. Mniej ładne przedstawiały się pani *de Pacé*, i płaciły znowu po pięć groszy od głowy. Szczególniejsze też były myta i opłaty zwane *„péages“*, jakie pobierano w francuskiej Prowancyi. I tak na przykład wózek wiozący złodziejów do sędziego musiał zamiast myta dawać powróz wartości sześciu szelągów. Maurytanin musiał rzucić swój turban w powietrze i zapłacić pięć groszy u bramy zamkowej. Ludzie wiozący z sobą żywność i lubiący łakocie, składali placek dla odźwiernego. Ludzie prowadzący konie w ręku, płacili po groszu od każdej nogi lub odnosili pana na plecach do zamku. Żyd musiał włożyć obuwie swoje na głowę, i odmówić chcąc nie chcąc jeden *Ojcze nasz* w narzeczu krajowem. Pielgrzym winien był odspiewać romancę na nowa nutę i przespać się na świeżej słomie, gdy chciał nocować w zamku. Podróżny pieszy, bosy lub w butach, był przyjęty na noc bez wszelkiej opłaty, jeśli wywrócił cztery koziołki... Znachodzą się także częste przykłady wkładanych na kogoś obowiązków, które nie tylko były dziwaczne, lecz oraz wcale niemożliwe. Tak na przykład, kto śmiał sprzeciwić się królowi, winien był dostawić sto czarnych łabędzi i tyleż białych kruków. Niektóre z podobnych obowiązków poddańczych były raczej szyderstwem dla tych, którym się należały, niż ciężarem dla samychże poddanych. W Bolonii np. obowiązany był dzierżawca pewnej ziemi, należącej do klasztoru Benedyktynów, przynosić zakonowi co roku parę z ugotowanego kapłona. Przybywał on rokrocznie do klasztoru, i gdy opat zasiadł do stołu, zbliżał się do niego z ugotowanym kapłonem, pomiędzy dwoma półmiskami. W jego oczach odchylał nieco jeden półmisek, a gdy zamknięta para wydobyła się na wierzch, odnosił półmiski do kuchni, i był już wolen od wszelkich obowiązków. Pewien magnat francuski miał znowu prawo zażądać codziennie do usług swoich dwa osły i jedną oślicę *bez ogona*. Więcej doczytać się można o tem w Jakóba Grimma *Rechtsalterthümer* i Micheleta Origines du droit français.

Czarodziejska siła anonsu. Za pierwszem umieszczeniem w gazecie nikt go ani spostrzega. Za drugiem spostrzega go ktoś, ale nie czyta. Za trzeciem — czyta. Za czwartem — spojrzy na cenę. Za piątem — pomówi z żoną. Za szóstem — miałby ochotę kupić. Za siódmem — kupi. „Kropla za kroplą — najtwardszy kamień wygłodzie“ — mówi przysłowie.

Trojga tego zgadnąć nie można, a czwarte— Żadnym sposobem nie da się wiedzieć: Ślad orła po powietrzu; ślad po skale węża — Ślad okrętu po morzu, droga z młodu męża. (Stara przypowieść.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*